

TYGODNIK
KRAJ

ŻARTY SIĘ SKOŃCZYŁY

W latach 70. i 80. był twarzą
polskiej satyry politycznej.
Dziś Jan Pietrzak – jak czasem żartują
jego dawni współpracownicy
– widzi siebie w roli instytucji.
Najlepiej państwowej.

MAREK RABIJ



To już do tego doszło, że nawet „Tygodnik Powszechny” chce o mnie pisać? – ironizuje Pietrzak poproszony o rozmowę. – Zgoda, ale najwcześniej za kilka dni. Muszę się przygotować do koncertu, który poprowadzę w niedzielę – zastrzega. Nie uda się nam więc porozmawiać.

Napięty harmonogram czy ostrożność? Większość znajomych satyryka na samo brzmienie jego nazwiska reaguje wysoko podniesioną gardą, jakby nie chcieli mu szkodzić.

– Od kilku lat nie wypowiadam się publicznie na temat Pietrzaka – ucina Daniel Passent, dziennikarz „Polityki”, w latach 70. współpracujący z Kabaretem Pod Egidą. – Wszystko, co miałem do powiedzenia na ten temat, zawarłem w książce „Passa”, do której pana odsyłam.

– Mąż nie potrafi wspominać tamtych czasów bez odniesienia do tego, co Jan Pietrzak robi obecnie, a oceniać jego bieżącej działalności artystycznej po prostu nie chce – to już Elżbieta Gajos, impresario artystyczna Janusza Gajosa.

Cały na biało

W kwietniu stuknęło mu 80 lat i Jan Pietrzak może się wreszcie poczuć spełniony. Jesień działalności artystycznej przypadła mu na długo wyczekiwany złoty wiek ojczyzny niepodległej od wpływów rosyjskich i niemieckich, w dodatku pod rządami polityków, którzy rozumieją, co naprawdę dobre dla kraju.

„Przez 49 lat graliśmy kabaret zdecydowanie antyrządowy i przyszedł taki czas w 2015 r., kiedy raptem się całkiem odmieniła sytuacja. Bo teraz bardziej opozycja szkodzi Polsce niż władza!” – ekscytował się Pietrzak podczas koncertu jubileuszowego w Opolu, odziany w białą marynarkę z różami w brustaszy. Ten i inne komentarze – o stołecznym Ratuszu, który chodzi na pasku Moskwy, dlatego nie upamiętnił należycie bitwy warszawskiej z 1920 r., czy o podręcznikach historii, z których okupanci wymazywali słowo „zwycięstwo” – padały jednak w stronę pustej widowni opolskiego amfiteatru.

Generalnie Jan Pietrzak nie narzeka na brak posłuchu. Nie bojkotuje go telewizja publiczna, media prawicowe proszą o komentarze, a młodzi patriotci w internecie doceniają ostrze jego satyry, która – jak piszą – „miażdży” lewaków. A to pojemna kategoria: do lewaków Pietrzak zdaje się zaliczać także Lecha Wałęsę, zasługującego, by za zdradę skrócić go o głowę, „tak jak królów ścinano”.

Robert Górski, współzałożyciel Kabaretu Moralnego Niepokoju, dziś znany bardziej z serialu „Ucho Prezesa”: – Nie wiem, na ile świadomie pan Pietrzak nawiązuje w obecnej twórczości do konwencji stand-upu, która dopuszcza brutalne ataki osobiste. Dla mnie kabaret zawsze kończył się tam, gdzie żarty z czyichś słabości i przywar zbliża-

Jan Pietrzak podczas gali Człowieka Roku „Gazety Polskiej”, „Nowego Państwa” oraz Klubów Gazety Polskiej, Warszawa, 30 stycznia 2012 r.

ją się do granicy pogardy. U niego ta granica w tej chwili zdaje się nie istnieć.

A jeszcze parę lat temu Jan Pietrzak miał do ostatnich kilku dekad polskiej historii stosunek bardziej zniuansowany.

„To była rzeczywistość narzucona. Człowiek nie miał na nią wpływu. Byli ludzie ze starszych roczników, pokolenie powstańców. Oni mieli zupełnie inną świadomość. Ja, kiedy kończyła się wojna, miałem osiem lat. Nie miałem tej świadomości. Wręcz przeciwnie. Byłem kształtowany na produkt komunizmu. Od 1948 r. byłem w wojsku. Trafiłem tam jako dzieciak z gruzów Warszawy. Wojsko układało mi światopogląd w myśl kanonów władzy ludowej. Proletariusze wszystkich krajów mają się łączyć i walczyć z imperializmem. Przyjmowało się to, bo trzeba było przerobić jakąś lekcję i zdać egzamin, jak z chemii czy musztry. Dopiero po wyjściu z wojska pod koniec lat pięćdziesiątych zacząłem »łapać«, czym jest ten ustrój. Samodzielnie się doksztalałem, by zrozumieć, na czym to wszystko polega” – opowiadał artysta w 2008 r. w wywiadzie dla biuletynu IPN.

Niby ludowe państwo

Czas tej samoedukacji przypadł na epokę wielkiej popularności kabaretów. Pietrzak zaczął bywać na spektaklach kultowego Studenckiego Teatru Satyryków. W telewizji, z którą miał daleki kontakt jako pracownik Warszawskich Zakładów Telewizyjnych dostarczających Polsce słynnych odbiorników Belweder, oglądał z kolei Kabaret Starszych Panów. Obcowanie ze sceną wyłącznie w roli widza przestawało mu jednak wystarczać i w 1960 r. związał się ze studenckim kabaretem Hybrydy. Aby grać tu oficjalnie, zapisał się nawet – jak twierdził – na studia wieczorowe na Wydziale Socjologii Wyższej Szkoły Nauk Społecznych przy KC PZPR. Rzecz jasna, należał również do partii, która bacznie obserwowała poczynania swoich członków na młodej stołecznej scenie kabaretowej.

„Po paru przedstawieniach (...) okazało się, że (...) przychodzą do nas esbecy, nagrywają, że trwają dyskusje, kto nam na to pozwolił, jak możemy mówić takie rzeczy, dlaczego są odstępstwa od tekstów. Jednym słowem, zaczęła się cała zabawa z cenzurą, która była dla mnie zaskoczeniem. Po latach wojska i fabryki nie miałem pojęcia, że tak funkcjonuje to niby ludowe państwo”.

W 1967 r. ludowa ojczyzna straciła resztki cierpliwości do studenckich żartów i Hybrydy zlikwidowano - pod pretekstem zarzutów o demoralizację młodzieży. W stolicy gęstniała już marcowa atmosfera. Ale

i Pietrzak miał pomysł na bardziej przystający do nowej rzeczywistości kabaret.

Bez podmiotu lirycznego

Z materiałów rozpoznania operacyjnego SB (interpunkcja oryginalna):

„Jan Pietrzak stwierdził, że zamierzał w przeszłości stworzyć samodzielny teatr polityczny, lecz ta koncepcja napotkała na trudności (...). Taka postawa wpływa na to, że nie chcą oni teraz, by ich porównywano np. do teatru STS czy też Rozmaitości, chcą za wszelką cenę zachować odrębność i niezależność w tym co robią i jak robią. (...) Ich zdaniem społeczeństwu a szczególnie sferom intelektualnym potrzebna jest inna »strawa duchowa«”.

Premiera pierwszego programu Kabaretu Pod Egidą odbyła się 10 lutego 1968 r. i nowa scena błyskawicznie wypełniła lukę po Hybrydach. Pietrzak zaczął także się pojawiać w telewizji. Latem 1968 r. śpiewał na antenie o symbolicznym inteligencie, który „kształci styl w umysłowych igraszkach / póki co / a dostanie tylko paszport / i do Anglii prac pieluchy / i do Szwecji myć talerze”. Trudno nie czytać tej piosenki inaczej niż jako satyrę na zmuszonych do emigracji w marcu 1968 r. Mimo to udało się mu zgromadzić w swoim kabarecie dobrych autorów i aktorów: Daniel Passent, Ryszard Marek Groński, Jerzy Urban, Jonasz Kofta, Kazimierz Rudzki.

Wspomina Daniel Passent: „Pietrzak był bardzo dobrym menedżerem, animatorem, gospodarzem kabaretu. Miał świetny kontakt z publicznością, był dowcipny (...) ale musiał i umiał układać się z władzą, z cenzurą, ze stołeczną Estradą”.

Tym razem satyryk nie zamierzał ograniczać się do konferansjerki. Chciał prowadzić kabaret, w którym będzie też gwiazdą. Tak narodziła się sceniczna postać pana Janka, bardziej wygadane niż czytany i bardziej pewnego siebie niż obytego. To on stał się osnową spektaklu, zapraszając na scenę innych twórców, ale też wdając się z nimi w dialog, komentując ich występy, zaczepiając publiczność. W Pod Egidą twórcy testowali też daleko posuniętą interakcję widowni ze sceną (być może czytym zbiegiem okoliczności w tym samym czasie we Wrocławiu to samo na dramatycznym podwórku robił Jerzy Grotowski). Kazimierz Rudzki, wybitny aktor i pedagog, siedząc przy stoliku pośród widzów, dialogował z grającymi na scenie. W innym programie pojawiła się księga, do której widzowie mogli wpisywać, co też mogą załatwić w peerelowskiej szarżyźnie. Jeden oferował szybsze podłączenie telefonu. Inny meblościankę. Himalaistka Wan-

da Rutkiewicz pewnego dnia wpisze do księgi: „szczytowanie”.

Pan Janek był też stuprocentowym produktem peerelowskiej edukacji osadzonej na sztywno w piastowskim koście. W ojczyźnie od Odry i Nysy aż po Bug, wypranej z resztek wątpliwości co do polskości Szczecina czy sentymentu za duchami polskiego ziemiaństwa, za to ze świadomością nabytą na wczasach nad Balatonem, że w socjalizmie nie wszystkie sklepy świecą pustkami. Gdy kilka lat wcześniej Starsi Panowie życzyli w kołysance ojczyźnie, by przysnili jej się rodacy, którzy: „co rano jadą tramwajem, / wytworną konfekcją okryci / i darzą uśmiechem się wzajem, / a wszyscy do czyści wymyć” – widz mógł nabrać wątpliwości, czy w gruncie rzeczy chodzi nie o umycie Polaków, lecz o wyczyszczenie Polski z ustroju, który odpowiada za tę codzienną bylejakość. Pod Egidą brud nie miał wymiaru symbolicznego. Był za paznokciami. Na chodniku. W obsikanych toaletach czy w bufetach, gdzie władza walczyła z plagą alkoholizmu „zaczynając od likwidacji zakąsek”. Podobnie widział rzeczywistość kabaret Dudek, który próbował jednak filtrować ją przez artystyczny subiektywizm.

Zwłaszcza w warstwie języka. „A co ja miałem robić, wysoki sędzie? / Tuńcia śpiewa »Nasza jest noc«, miłość wre, a kordły nie ma! / Są tacy, co mogą bez kordły, lecz nie ja” – skarżył się u Dudka oskarżony Oleś Łupa (w tej roli brawurowy Janusz Gajos) oskarżony o zdemolowanie restauracji po tym, jak jej właściciel przeciwstawił się próbie konsumpcji na stoliku krótkotrwałej znajomości z pewną damą (skecz „Kordła”).

Nasz człowiek

Kabaret Pietrzaka po prostu przeżuwał codzienny absurd PRL-u, traktując go jak pierwotny ocean, z którego wyszedł na ląd. Pietrzak wspominał potem, że z premedytacją czyścił swoje monologi ze wszystkiego, co widzowi mogłoby się skojarzyć ze schedą kabaretu literackiego. Pod Egidą miał być kabaretem hybrydowym, który obywateli się bez postaci scenicznych. Artyści na scenie mieli być sobą, dodając przez to wiarygodności swoim słowom. „Dziś będzie melancholijnie, bo jestem w nastroju melancholijnym” – wzdychał więc ze sceny Jonasz Kofta, ale tuż po nim wchodził pan Janek i z akcentem z Kercełaka śpiewał dynamiczny kuplecik, w którym: „Naparzały się dwa typy, / jeden bardziej był napity, / rąbnął w szybę, rozbił głowę / i obudził dwie sklepowe!”.

„Socjalizm tak, wypaczenia nie”? W gruncie rzeczy do tego w latach 70. ➔

→ sprowadzał się program Kabaretu Pod Egidą. Nawet władzę ukazywał jako wyłonią w procesie selekcji negatywnej, ale wciąż z tego samego polskiego plemienia. „Czy pan wie, kim pan szachuje? To jest przecież mój pionek” – mówił Piotr Fronczewski w słynnym dialogu o partii szachów. „To nie jest pana pionek, tylko moja fi-gu-ra” – odpowiadał mu Pietrzak, wywołując aplauz na sali, która w lot łapała polityczne niuanse skeczu. „No to ja Marciniakiem na F6 i to mi pokryje cztery województwa, pół radia i otworzy dojście do telewizji” – odgryzał się Fronczewski.

Egida szybko stała się społeczno-towarzystwym fenomenem Warszawy, łączącym w jednej sali raczkującą polską opozycję i przedstawicieli komunistycznego establishmentu. Nawet krytyk „Trybuny Ludu” Roman Szydlowski z okazji któregoś jubileuszu kabaretu pisał, że to „najlepsza dziś scena satyryczna w kraju”, z ostrzem krytyki wymierzonym „przeciw nierobom, rozróbkarzom i niekompetencji”.

Jerzy Urban, wówczas publicysta „Polityki” i autor tekstów do kabaretu: – Nazwisk już nie pamiętam, ale w Komitecie wojewódzkim PZPR w Warszawie frakcja, jak byśmy to dziś powiedzieli, liberalna, właściwie otwarcie sprzyjała Pietrzakowi. Przekonywali, że Janek w gruncie rzeczy gra w tej samej drużynie, bo uprawia krytykę skoncentrowaną na wynaturzeniach systemu, nie na nim samym.

Epoka odprężenia między kabaretem a PZPR już wkrótce miała jednak przejść do historii.

„Żeby Polska była Polską”

Tę piosenkę Pietrzak napisał w 1976 r. W reakcji – jak twierdzi – na wydarzenia z Czerwca ’76.

„Po zajęciach w Ursusie (...) partia robiła spędy propagandowe na stadionach i placach. Tzw. masy robotnicze protestowały przeciw warchołom i wichrzycielom z Ursusa i Radomia. Wychodzili ludzie wygani pod przymusem z zakładów pracy. Stali z pochylonymi głowami, wstydzili się. A szajka łobuzów stała pośród flag i wygłaszała przemówienia, jak to warchoły i wichrzyciele niszczą nam socjalizm. Było to bardzo przygnębiające widowisko” – wspominał w rozmowie dla biuletynu IPN.

Urban zapamiętał początki tej piosenki inaczej. – Od razu nie spodobał mi się refren. Zasugerowałem nawet, żeby zmienić słowa na „żeby Polska była polska”, bo to nada tekstowi mocniejszy kontekst polityczny – wspomina. – Pietrzak się zachnął,

że cała pieśń to tylko takie patriotyczne mrugnięcie okiem w stronę cenzury, dlatego nie będzie niczego przerabiać.

Fakt, w tekście piosenki nie ma niczego, z czym nie zgodziłby się peerelowski cenzor. Ale już wkrótce staje się ona hymnem sierpniowej opozycji. Pietrzak w Alejach Jerozolimskich, stojąc na pace ciężarówki, śpiewa swój *protest song* tysiącom uczestników marszu pod Dom Partii. Gra po całym kraju w halach strajkujących hut i kopalń, po stołówkach zakładów pracy, dla robotniczej widowni, z którą do tej pory nie miał właściwie styczności. Żegna się również z Passentem, Ryszardem Markiem Grońskim i właśnie Urbanem – autorami kabaretu związanymi z „Polityką”.

13 grudnia 1981 r. zastaje Pietrzaka w USA, podczas małego *tourneé*. Wraca do Polski wiosną 1982 r. – ku zaskoczeniu i komunistów, i opozycji.

„Nie gryzie was sumienie?”

Łąduje w kraju, w którym jego piosenki i skecze krążą w drugim obiegu jak bibuła. Frazy „Rąsia, buzia, kłapa, goździk” czy „wprowadźcie socjalizm na Saharę, a po ty-

godniu zabraknie tam piasku” – wchodzi nawet do języka. To wtedy, jak mówią jego znajomi, Pietrzak zaczyna wierzyć, że z autora kabaretowego stał się przywódcą politycznym.

Urban jest już wtedy rzecznikiem stanu wojennego i, jak twierdzi, początkowo jego zwierzchnicy nie zwracali na Pietrzaka zbytnej uwagi. – Na poziomie najwyższych czynników partyjnych, jak się wtedy mówiło, Pietrzak i jego twórczość zaistnieli dopiero wtedy, gdy w stanie wojennym Frank Sinatra w amerykańskiej telewizji zaśpiewał „*Let Poland Be Poland*” – twierdzi. – Uznano to za akt wrogi, choć przecież Janek nie zgodził się wystąpić w tej audycji.

Władzy zależało jednak również na uspokojeniu nastrojów w kraju, dlatego po kilkunastu miesiącach pozwala Pod Egidą wznowić działalność. Kabaret startuje z nową obsadą. I z zupełnie innym repertuarem, w którym żart coraz częściej przeplata się z patriotycznym patosem. Komuniści to już nie poczciwy Marciniak „wysunięty z ramienia na czoło”, ale złowrogi oficer z przesłuchań. W jednej z pieśni cenzu-



W Kabarecie Pod Egidą. Jan Pietrzak podczas rozmowy z publicznością. Na dalszym planie Jonasz Kofta. Warszawa, 1974 r.

ra nie zgodzi się na oficera. Pietrzak zmieni go na kontrolera: „A pan mi mówi, panie kontrolerze, / dym z papierosa puszczając beztrosko, / że ja niestety do tych nie należę, / którzy powinni zajmować się Polską”.

Kasety z przedstawieniami wciąż krążą po kraju, ale prawo do komentowania rzeczywistości rości sobie już nowe pokolenie polskich satyryków. W 1986 r. zielonogórski kabaret Potem pod wodzą Władysława Sikory prezentuje widzom krakowskiej PaKi program „odjechany w stronę wyobraźni”, z celowo wyeksponowanym dystansem do realiów ówczesnej Polski – bo z echem w roli komentatora. Przywykła do dosłownych kupletów zaangażowanych w politykę widowia ze zdumieniem słucha: „Nie gryzie was sumienie? / Mienie... Mnie nie... Mnie też nie. / Niech każdy coś od siebie da. / Bie da... Bieda... Bieda... / Przecież jest lepiej. / Ej! / I podwyżki dostaniemy. / Niemy... Nie my... Nie my!”.

Robert Górski (rocznik 1971) na pytanie o miejsce Pietrzaka w edukacji satyrycznej jego pokolenia odpowiada zdecydowanie: marginalne. I dorzuca: – Blżej mi było do Laskowika, który z widownią wdawał się w swoisty flirt. Pan Zenon zresztą powiedział mi kiedyś, gdy się już poznaliśmy, że jego zdaniem w kabarecie publiczność trzeba dopieszczać jak dziecko, robić ukłony w stronę jej zbiorowej mądrości, nawet schlebiać jej próżności. Bo wtedy ludzie się otwierają i następuje wymiana emocji. Jan Pietrzak, tak to czuję, bardziej naucza, niż rozmawia.

Maciej Stuhr (rocznik 1975): – Pietrzak? Jestem z innej bajki. Moje poczucie humoru kształtowały numery z PaKi.

Dawny znajomy Pietrzaka zwraca uwagę na jego słynne spotkanie z Wałęsą na początku lat 90., podczas którego prosił prezydenta Polski o pomoc w znalezieniu lokalu dla jego kabaretu. Jakby Pietrzak znalazł się w gronie tych legend PRL-u, które po 1989 r. przestały być potrzebne. A może po prostu uznał się wtedy za żywe dobro narodowe?

Prof. Tadeusz Nyczek ujmie tę zmianę chyba najtrafniej. Jego zdaniem na początku lat 90. satyra polityczna z zadymionych sal kabaretowych przeniosła się do treści interpelacji poselskich. W ślad za tym wolny rynek wkroczy również do kabaretu, co będzie oczywiste dla wszystkich. Poza Janem Pietrzakiem, który dopatrzy się w tym jeszcze jednego spisku.

„Ze mną nie ma żartów, bo ja się na nich znam” – mówił ze sceny satyryk w 1984 r.

Pytanie, która część tej wypowiedzi zdezaktualizowała się pierwsza. ©®

MAREK RABIJ